

Corbynomania

10 września 2015

Demokratyczna erupcja i społeczna energia przekształcają Partię Pracy. Jeśli potrwa dłużej, mogą również zmienić polityczny krajobraz całej Wielkiej Brytanii.

To co się działo w środku sierpnia było dla Labour czymś bez precedensu w całej historii brytyjskiej lewicy. Dwa tygodnie temu do partii zapisało się 168 tys. osób. W jeden dzień. Nagła i masowa aktywizacja partyjna i polityczna sympatyków lewicy (od początku maja do Labour zapisało się 400 tys. nowych członków) została uruchomiona przez Jeremy Corbyna – 66 letniego politycznego outsidera i partyjnego weterana. Jednak dla Labour, marzenie każdej partii – wyrwanie z politycznej apatii i partyjnego letargu tysięcy ludzi – jest koszmarem. Bo dla lewicowego partyjnego establishmentu zarówno sam Corbyn jak i jego zwolennicy stanowią olbrzymie zagrożenie. Polityczne, ideologiczne, a także bytowe. Jeśli „corbyniści” przejmą władzę w partii, mozolnie budowane kariery wielu czołowych polityków Labour mogą się skończyć, a w najlepszym razie ostro wyhamować. W tym kontekście nowy, niespodziewany i masowy ruch na lewicy wywraca do góry nogami partyjny stół. Kruszy partyjny beton i wprowadza chaos. Pytanie, co zrobi potem?

STRACH PRZED LUDEM

W swoich propagandowych czy też PRowskich odezwach każda partia postuluje chęć otwarcia na nowych członków i aktywistów. Nawołuje do upolitycznienia społeczeństwa, demokratycznej aktywności, zaangażowania. W praktyce jednak masowa aktywizacja dla szefów partii jest niebezpieczna. Bo energia społeczna, niespodziewanie wyzwolona, jak tego lata w przypadku Labour, burzy ustalony porządek i powoduje zamęt. Sypią się budowane przez partyjnych spin doktorów strategie, erozji ulegają założenia i plany działania. Masą swoich nowych

członków każda partia siłą rzeczy się przekształca. Oddolnie, a nie odgórnie. Żywiołowo, a nie planowanie. Pod wpływem emocji, a nie analiz przygotowywanych w zaciszu gabinetów. Dlatego też, chociaż zmiany w głosowaniu na lidera partii, które wprowadził Ed Miliband (jeden członek, jeden głos) były w zeszłym roku powszechnie chwalone, a Tony Blair przekonywał, że sam chciał wprowadzić podobne reformy, dziś przez większość czołowych polityków Labour są dyskredytowane. Bo według lewicowego establishmentu (mówiącego nieoficjalnie i szeptem) zbyt szeroko otwierają polityczne bramy do partyjnego środka. I destabilizują polityczne życie. Tu spotyka się polityczny idealizm z partyjnym cynizmem. Demokracja? Tak, ale kontrolowana. Entuzjazm? Mocno regulowany. Aktywność? Najlepiej właściwie ukierunkowana. Tymczasem to, co tego lata dzieje się na lewicy, to ślepa, nieokiełznana erupcja politycznego zaangażowania. A do tego w kolorze ostro czerwonym.

Jeremy Corbyn dał nadzieję wszystkim brytyjskim „lewakom”, dla których Labour po rządach Blaira i Browna stała się partią centrową czy wręcz prawicową. A także przeciągnął na swoją stronę rozgoryczonych polityką New Labour robotników, którzy systematycznie zaczęli przechodzić na stronę UKiP. I okazało się, że jest ich na Wyspach cała masa. „Corbyniści” na każde spotkanie z politykiem z okręgu Islington North stawiają się tłumnie. Sale pękają w szwach, a Corbyn często musi powtarzać swoje wystąpienia również dla tłumu czekającego na zewnątrz, dla którego zabrakło miejsc w wynajmowanych salkach. Kampania wyborcza tego politycznego seniora mknie przy autentycznym entuzjazmie partyjnych mas, absorbuje energię działaczy, pobudza politycznie i wyzwala w ludziach nadzieję. Doświadczenie spotkania z Corbynem ma niemal religijny wymiar. Tego lata dzieje się bardzo rzadka rzecz. Na Wyspach w ramach establishmentowej partii rodzi się oddolny, spontaniczny i prawdziwy ruch polityczny.

PRZEMYSŁ KRYTYKI

Zjawisko „corbynomanii” jest ruchem, którego nikt nie przewidział, ani cynicznie nie skonstruował gdzieś za kulisami. To w dużej mierze echo szkockiej kampanii referendalnej i europejskich ruchów lewicowych (Syriza, Podemos), a także reakcja na katastrofalną politykę oszczędności narzuconą po kryzysie 2008 roku oraz tym, co działo się na brytyjskiej lewicy po przegranych majowych wyborach. Kiedy Labour pobita przez Torysów zaczęła przebąkiwać o skręcie na prawo i niemal w całości przejęła centrową retorykę, lewicowa opowieść o świecie Jeremiego Corbyna była jak powiew świeżego powietrza. Kiedy Labour zaczęło brakować jasnej wizji, zestawu zasad, a nawet spójnego zbioru wartości, „corbynizm”, wbrew niedowiarkom, pokazał moc polityki. Jest to moc artykulacji, czyli nazywania problemów politycznych i podsuwania rozwiązań.

Kampania politycznego weterana niespodziewanie oferuje i przedstawia spójną politykę i skonkretyzowaną strategię gospodarczą. Sprawiedliwość podatkowa, radykalny program mieszkaniowy, nacjonalizacja kolei i strategicznych gałęzi gospodarki, bank narodowy, który poprzez publiczne inwestycje zmieniałby ekonomię, infrastruktura, płaca minimalna na poziomie 10 funtów za godzinę to tematy, które chociaż dla głównego nurtu brzmią radykalnie, uznawane są przez większość brytyjskiego społeczeństwa za słuszne. I warte poparcia. Corbyn – na przekór wszystkiemu i na przekór wszystkim – oferuje spójną, inspirującą i dającą nadzieję wizję. A do tego ma w sobie coś z trybuna ludowego. Umie mówić do tłumów i jest autentycznie zaangażowany. Corbyn wydaje się szczery i nieugnieciony jak plastelina przez piarowców. Lewicowy establishment robi wszystko, żeby zdyskredytować zarówno postać z Islington North jak i jego sympatyków. Największe polityczne tuzy z Tonym Blairem, Gordonem Brownem i Davidem Milibandem na czele, a także lewicowe ośrodki medialne – Guardian i Observer wprawiły w ruch prawdziwy przemysł krytyki. Bezskutecznie.

CENTRUM PO LEWEJ STRONIE

W tych wyborach na szefa partii lewicowy establishment pokazał swoją wyjątkowo bezbarwną i nijaką twarz. Zarówno Yvette Cooper, Andy Burnham, jak i Liz Kendall prowadzą nieudolną kampanię polityków niebędących w stanie przekonać ludzi, że łączy ich z nimi jakiś cel, o który warto zawalczyć. Cała ich energia zamiast na przedstawianie własnych propozycji i rozwiązań idzie na zwalczanie Corbyna i przekonywanie, że z nim na czele Labour nie ma szans na wyborczą wygraną z Torysami. Cała trójka jest zmęczonymi kandydatami wyjąłowanej partii. A do tego demonstruje wyniosłość, lekceważenie, a nawet wrogość do demokratycznego ducha. Gorący polityczny sierpień w Partii Pracy pokazuje, że nie można traktować partyjnych dołów jak chłopów pańszczyźnianych, ani jak zagubionych dzieci, które nie wiedzą co czynią. Ataki na Corbyna tylko go wzmacniają i radykalizują jego zwolenników. Elitaryzm i pouczanie w wykonaniu lewicowego establishmentu ma odwrotny skutek. Według sondażu YouGov na Corbyna zamierza głosować 53 proc. członków Partii Pracy, a jego ponad 30 proc. przewaga nad drugim na liście Burnhamem jest miażdżąca. Lewicową klasę polityczną ogarnęła jakaś niespotykana histeria i desperacja.

Przypomina to wszystko rok 1974 i próby Torysów, aby w wyścigu do fotela partyjnego szefa zatrzymać Margaret Thatcher, która również była znienawidzona przez konserwatywną prasę, a partyjny establishment zarzucał jej radykalizm oraz wróżył porażkę w starciu z Labour. Wówczas Torysi, tak jak dziś laburzyści wierzyli, że wygrać wybory można jedynie będąc w centrum. Thatcher zaskoczyła wszystkich.

Wątpliwe aby Corbyn osiągnął ten sam polityczny sukces co Żelazna Dama, ale nie znaczy to, że nie wpłynie na polityczny pejzaż Wielkiej Brytanii. Promując lewicowe wartości, używając lewicowego języka, kandydat na szefa Partii Pracy już dziś kształtuje debatę w głównym nurcie. I mozolnie przesuwają ją z prawej na lewą stronę, rozbijając monopol brytyjskiej prawicy na narrację w mainstreamie. Rzesze jego zwolenników robią to

samo w mediach społecznościowych, w pubach, miejscach pracy i na ulicach. Jeśli ta energia nie wyparuje wraz z podliczeniem głosów, 12 września corbynomania może tchnąć nowe życie w stęchłą brytyjską politykę, naładować wyjałowione lewicowe baterie i ponownie nadać sens demokratycznym wyborom.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: eLondyn.co.uk